



Katalog alfabetyczny Biblioteki Wydziału Polonistyki UJ, fot. Artur Czesak

Opowiadanie

KAROLINA GRODZISKA

Panna Waleria

Dyżury popołudniowe w Bibliotece miały swój klimat, zwłaszcza jesienią i zimą. Złośliwi twierdzili, że dwugodzinna przerwa – od 15 do 17 – pozostałość z czasów międzywojennych, była po prostu czasem profesorskiej drzemki poobiedniej, ale nam, bibliotekarzom, pozwalała na szybkie obrócenie do domu, na zakupy, albo na idealnie spokojną pracę w pustej Bibliotece zupełnie pustej o tej porze Akademii. Wiele można było wtedy zrobić.

Dobrze znane wnętrza stawały się nagle przestronniejsze i bardziej tajemnicze. Zapadał późnolistopadowy lub grudniowy mrok, światło paliło się w czytelnicy i na korytarzu. Pozostałe pokoje: Katalog, Biuro Katalogowe, zwane BeKatem, Zbiory Specjalne, były ciche, puste i ciemne. Oszczędność i brak żarówek kazały zapalać tylko część lamp, za to kaloryfery grzały na całego. Wnętrze wypełniały niesłyszalne we wcześniejszych godzinach dźwięki: szum wody w instalacji, postrzelanie rur, trzask rozsychających się mebli, drżenie szyb – rezonans jadącego po Basztowej tramwaju, długo nieodbierany telefon w odległych wnętrzach Kancelarii. Niby codzienne i swojskie, a nagle trochę niepokojące dźwięki. Czasem skrzypnięcie parkietu niby odgłos kroków, kliknięcie zapadki klamki... Wreszcie sprowadzający wszystko do normalnego wymiaru dzwonek do drzwi i pierwszy popołudniowy czytelnik lub spóźniona na dyżur koleżanka.

Wiernych popołudniowych czytelników było dwóch: Pan Koccyk i Pan Jabłuszko. Emeryci, zawsze w garniturach (lub przynajmniej marynarkach) i pod krawatem. Może udałoby się jeszcze i dziś odszukać w księdze czytelników ich nazwisko i zawód – ale, po co? Nie to stanowiło o ich niezwykłości, ale to, że byli po prostu codziennie, jakby w ogóle nie tęskniąc za domem.

Pan Jabłuszko wyjmował z teczki i kładł na stole kilka jabłek, którymi zawsze nas częstował. W ciągu trzech godzin dyżuru zjadał je cicho i niepostrzeżenie, ich znikanie ze stołu było niezłym czasomierzem. Któregoś dnia, po dyżurze i zamknięciu Biblioteki, dogoniłam Pana Jabłuszko na Rynku. Było mroźnie, a on w swoim wytartym płaszczu szedł energicznie, by nagle skręcić do Pałacu Pod Baranami. Było parę minut po ósmej, a tamtejsza biblioteka była czynna o godzinę dłużej niż nasza... Dziś, na myśl o tamtej bibliotecznej samotności Pana Jabłuszko, mam łzy w oczach.

Pan Kocyk siedział daleko od stołu dyżurnego i jak najdalej od okien. Przynosił ze sobą kraciasty koc, którym owijał się od kolan po piersi, zanim usiadł, obłożony dookoła słownikami i zeszytami. Czasem prosił o dodatkowe kartki papieru. Zapisywał długie kolumny słów, jak się wydaje, zestawiał polskie słowa z ich odpowiednikami w kilkunastu europejskich językach.

Nie tolerował innego miejsca, nie znosił otwierania okien. Obruszał się z oburzeniem na nasze propozycje, by zostawiał kocyk w Bibliotece. Pogrążony w swej pracy, miał jednak dobry słuch i świetną orientację. To on zwykł powtarzać w jesienne i zimowe wieczory, gdy coś zaszumiało lub zaskrzypiało:

– Słyszysz pani? Panna Waleria znów tu chodzi.

Albo też:

– Słyszysz pani Walercię? Chodzi, chodzi i szuka.

Odpowiadało się na to uspokajającym pomrukiem zza biurka, choć na początku wychodziłam na korytarz czy zaglądałam do sąsiednich pokoi, a zwłaszcza do Działu Zbiorów Specjalnych. Ten pokój był kiedyś połączony drzwiami z czytelnią, ale zastawiono je potężnym regałem z encyklopediami. Z drugiej strony pozostała wnęka, w której pracownicy Specjałków chowali swoje płaszcze, buty, parasole i zakupy, jednak miejsce było dźwiękonośne, czasem z silnym świszczącym przeciągiem. Gdy już pracowałam w Specjałkach, któregoś wietrznego dnia starsza koleżanka, Bogusia, podniosła głowę znad papierów i powiedziała po prostu:

– O, Walercia znów chodzi po Bibliotece.

Tak z wolna oswajałam się z duchem – czy postacią – nieżyjącej od lat panny Walerii. Nosila piękne litewskie nazwisko, takie sienkiewiczowsko brzmiące. Dwa, trzy pokolenia wcześniej zajeżdżałybyśmy koleją lub bryką do dworu jej pradiadków pod Wilnem, ale powstanie styczniowe, dwie wojny, zmiany granic i groźny cień Związku Radzieckiego sprawiły, że dwór był już odległym wspomnieniem na kilku fotografiach, a w garsonierze panny Walerii trwał tylko wielki szafkowy zegar i sporo sztuk porcelany miśnieńskiej i koreckiej. Porcelana tajemniczo lśniła w oszklonej serwantce, na wierzchu nie mogło nic stać, a to z uwagi na przygarnięte przez pannę Walerię i bardzo kochane koty. Kilka kotów. Według sąsiadów – dużo za dużo kotów.

Panna Waleria, osiągnąwszy wiek emerytalny, pracowała dalej. Nikt, kto wiedział o jej smutnej samotności i żałośnie skromnej emeryturze, nie miałby serca pozbawiać jej pracy całkowicie. Był więc zmniejszony wymiar czasu pracy, połówka, potem ćwiartka etatu. Nie wiedzieliśmy o niej wiele, była dla nas jak pokryta kirem

bohaterka jakiegoś opowiadania Orzeszkowej: straciła wszystko i wszystkich, gdy nadeszła – tylko tym wytartym określeniem umiem to wyrazić – burza ze wschodu. Starsze koleżanki wspominały wprawdzie o jej wielkiej miłości do jednego ze znanych nam profesorów i nieudanych zabiegach o jego uczucie, ale jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Zmarła w szpitalu; gdy zasłała w domu, koty zaalarmowały cały blok i sąsiedzi zdążyli wezwać pogotowie. Zawiadomili też sekretariat Biblioteki, bo tylko to miejsce można było zawiadomić. Ale nie było nadziei i po kilku dniach w gazetach pojawiły się dwa nekrologi, zamówione przez Bibliotekę. Spoczęła w grobie znajomych, podobnie jak ona – ekspatriantów spod Wilna. Koty umieszczono w schronisku, te, które nie uciekły.

Ale to nie był koniec. Bo okazało się, że we wmurowanym w ścianę pokoju Działu Zbiorów Specjalnych sejfie, dumnie noszącym srebrzystą plakietę wiedeńskiej c.k. firmy i służącym do przechowywania podręcznej kasy, teczek osobowych pracowników, a także niektórych „resów”, czyli druków zakazanych przez władzę ludową, panna Waleria trzymała swój depozyt. Przedwojenne pudełko po czekoladkach firmy A. Piasecki, owinięte szczerdże w szary papier, obwiązane szarym sznurkiem o zalakowanych węzłach. Na papierze jej imię i nazwisko.

O depozycie wiedział dyrektor Biblioteki i sekretariat, nikt jednak nie orientował się w jego zawartości. Otworzono pudełko komisyjnie i – jedyny raz w życiu – usłyszałam takie zbiorowe westchnienie zachwytu i zdumienia. Pod flanelową ściereczką drzemał potrójny sznur pereł z diamentową zapinką, obok brosza w kształcie koszyka z bukietem kwiatów ze szmaragdów, szafirów, rubinów, chryzoprazów i granatów. Sznur białoróżowych koralii – od maleńkich okruszków, po wielki orzech pośrodku, złota bransoletka z różową i kremową emalią i brosza do kompletu, kilkanaście pierścionków nanizanych na sznureczek. Dwie pary powiązanych ze sobą obrączek, opatrzonych maleńkimi przywieszkami: Rodzice. Dziadkowie. I owinięty w ligninę czarny medalion ze stali i czarnej emalii, wysadzany perełkami w kształt orła – biżuteria żałobna z 1863 roku. I, nieco nowobogacka, złota papierośnica z ornamentalnym inicjałem w jednym z rogów. I tabakierka damska z szafirowej emalii, z zawijasami z perełek. I jeszcze absurdalna dewizka ze złota w kształcie krowy, i złota pieczętka z onyksu. I jeszcze...

To wszystko nagle załśniło, rozbłysło i zamigotało na biurku, pokrytym brudno-szarym birstolem. A nam przypomniała się panna Waleria, w swoich szaroburzych sukienkach, szarych lub beżowych sweterkach, w cienkim płaszczu z wyliniałym kołnierzem z lisa. Na wielkie okazje wpinała w żabot bluzki spatynowaną srebrną broszkę w kształcie kwiatka. Panna Waleria, która z pewnością nie dojadła i nie wykupywała wszystkich lekarstw, bo przecież trzeba było nakarmić te koty...

Panna Waleria z dawno nieistniejącego dworu, za którą nagle w takim blasku stanęła historia kilku pokoleń ludzi, noszących owe klejnoty z dumą, radością lub smutkiem. Panna Waleria, która nie sprzedała żadnego z nich...

Nie było wiadomo o kimkolwiek, nawet z najdalszej rodziny, mogącym do tego depozytu aspirować lub chociażby powiedzieć, kim byli jego dawni właściciele. Panna Waleria nie zostawiła żadnych życzeń ani wskazówek. Jej depozyt został komisyjnie spisany i opisany, spisowi nadano numer dziennika i włączono do akt, paczuska zaś powędrowała do sejfów, obwiązana po wielekroć sznurkiem, zalakowana, opieczętowana. Po roku, gdy nie udało się odnaleźć żadnych bliskich panny Walerii – a nam, jako historykom, poszukiwania genealogiczne nie sprawiały trudności – wobec konstatacji całkowitej samotności panny Walerii, klejnoty rozprzedaliśmy w kilku Desach. Po kilka, nosząc je po odhaczeniu ze spisu, komisyjnie pobierając z sejfów. Nie wiem, ile przepisów złamaliśmy po drodze, ale panna Waleria z całą pewnością nie chciałaby, by jej klejnoty poszły na skarb ludowego państwa. Uzyskany dochód wpłaciliśmy na schronisko dla zwierząt, budząc zdumienie wysokością anonimowych wpłat.

Panna Waleria powinna być z tego zadowolona. Jednak czasem w listopadowe lub grudniowe popołudnia, o szarej godzinie chodzi po Bibliotece. Może chciałaby, mimo wszystko, włożyć te perły czy korale, których nigdy za życia nie nosiła...